

Pozjednoczeniowy kac trwa

Gdy w listopadzie 1989 r. upadł mur berliński, już tylko garstka obywateli NRD chciała dalej żyć w tym kraju i go reformować. Obrano kurs na zjednoczenie Niemiec. Dziś wyniki tego procesu poddaje się coraz ostrzejszej krytyce.

[Łukasz Grajewski](#)

z Lipska

Scheiße, wszystko stracone! – Michael Raschke wspomina słowa, które wypowiedział 9 listopada 1989 r. Wieczorem tego dnia władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej zapowiedziały otwarcie przejść granicznych. Już kilka godzin później, pod naporem tłumy, strażnicy zaczęli przepuszczać wszystkich chętnych. Najpierw otwarto przejścia do Berlina Zachodniego, a następnie kolejne, na granicy z RFN.

Fizycznie rozbiórka muru berlińskiego ciągnęła się jeszcze miesiącami. Psychologiczna granica, dzieląca Niemcy na dwie ideologie, dwa systemy gospodarcze i dwa globalne obozy polityczne, runęła tego wieczoru. Raschke siedział w swoim mieszkaniu w Lipsku i wcale nie był zadowolony z niespodziewanego obrotu sytuacji.

Począwszy od 9 listopada 1989 r. kamery telewizyjne zarejestrowały wiele wybuchów euforii przy murze berlińskim. Przeciętnie zbudowani mężczyźni chwytają za młoty, aby uderzać nimi w bloki składające się na 154 kilometry muru. Albo tłumy świętujące sylwestra, stojące po obu stronach muru lub siedzące bezpośrednio na nim i słuchające Davida Hasselhoffa, który – stojąc na platformie – śpiewa „I’ve been looking for freedom”. Albo nieznajomi z zachodu i wschodu, którzy padają sobie w ramiona. Oczy uczestników tamtejszych wydarzeń błyszczą i nawet ich śmieszne fryzury („krótko z przodu, długo z tyłu”) nie mącą wrażenia, że dzieje się coś wyjątkowego.

Dlaczego więc trzy dekady po przemianach tak trudno w Niemczech o dyskusję, w której nie krytykowano by tego, co nastąpiło po tym, gdy demonstrujący dopięli swego i upadł mur? Michael Raschke ma 56 lat. Pracuje w poradni psychologicznej. Z okresu, gdy wokół niego padały polityczne mury, pozostały mu długie włosy, które wtedy nosił niemal każdy szanujący się NRD-owski opozycjonista. Rozmawiamy z okazji 30-lecia wydarzeń, w których brał czynny udział. Jak sam podkreśla, chce poddać je krytycznej ocenie.

Ponad półmilionowy Lipsk uchodzi dziś za najatrakcyjniejsze miasto wschodnich Niemiec. Przypomina nieco osadę Asteriksa i Obeliksa. We francuskim komiksie wioska była punkcikiem oporu w podbitej przez Rzymian Galii. Lipsk jest natomiast zieloną plamą na coraz bardziej niebieskiej mapie politycznej wschodnich Niemiec.

Liberalny, pełen studentów i artystów, coraz chętniej wybiera Zielonych, podczas gdy większość w regionie woli głosować na populistyczną i nacjonalistyczną Alternatywę dla Niemiec (jej barwa partyjna to niebieski). Dla ludzi, którzy ściągają do „małego Berlina”, liczy się właśnie ten liberalny duch i niższe czynsze. Dla większości nie ma znaczenia, że 30 lat temu mieszkańcy Lipska odegrali kluczową rolę w rozchwianiu żelaznej kurtyny. Lipsk był pierwszy. To w tym mieście – gdy reszta NRD była jeszcze w uśpieniu – już we wrześniu 1989 r. ludzie zaczęli coraz tłumniej wychodzić na ulice; na początku października było ich już kilkadziesiąt tysięcy. W uproszczonej narracji dominuje następująca chronologia: demonstracje w Lipsku – upadek muru berlińskiego – zjednoczenie Niemiec. Miasto dorobiło się dzięki temu marki centrum Pokojowej Rewolucji.

W tym roku, 9 października, w Lipsku jak co roku odbywa się z tej okazji Lichtfest, festiwal światła. Tegoroczne obchody gromadzą kilka tysięcy osób. Jest zimno i pada. – Tak jest zawsze – przekonuje jeden ze zgromadzonych na Augustusplatz, centralnym punkcie miasta.

Gasnące światła

Z obchodami najważniejszych krajowych rocznic Niemcy mają podobny problem co Polacy. Podobnie jak listopadowy Dzień Niepodległości w Polsce, imprezy w Niemczech przypadają na pochmurną i deszczową jesień. Entuzjazm i radość już na wstępie tonuje katar i chłodny wiatr.

Jak nazwa wskazuje, znakiem rozpoznawczym obchodów w Lipsku jest światło. 30 lat temu część demonstrantów niosła w rękach świece i latarki. Teraz ochotnicy rozdają zgromadzonemu tłumowi małe świeczki i duże plastikowe kubki, żeby wąty płomień nie uległ po kilku sekundach podmuchom wiatru.

Chyba biorąc pod uwagę niesprzyjającą pogodę, prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier wygłasza krótkie przemówienie. Jego treść zmieniono w ostatniej chwili. Kilka godzin wcześniej 27-letni Stephan Balliet próbował w Halle, oddalonym o 30 minut jazdy autem od Lipska, sforsować wejście do synagogi, by dokonać masakry wiernych świętujących Jom Kipur. Choć mocne drzwi zapobiegły najstraszniejszemu scenariuszowi, fanatyk zastrzelił na ulicy dwie przypadkowe osoby.

W mediach społecznościowych kursują plotki, że sprawca nie działał sam i inni zmierzają w kierunku Lipska. Potem okaże się to nieprawdą. Ale teraz wystarcza, by zasiać niepokój i odwrócić uwagę od głównego przesłania rocznicy pokojowych demonstracji.

Prezydent mówi więc więcej o antysemityzmie niż o odwadze mieszkańców NRD sprzed 30 lat. Przemówienia wszystkich notabli trwają nie dłużej niż pół godziny. W tym czasie większość świeczek już gaśnie. Ponieważ nie przestaje padać, ludzie w pośpiechu udają się w kierunku swoich domów. Tysiące kubków chroniących symboliczny płomień rewolucji przed wiatrem lądują najpierw w koszach, a później także i obok nich. Na ulicach nie widać radości.

Poczuli siłę i czas

W ostatnich tygodniach słowa uznania dla aktywistów z NRD padają regularnie z ust wysoko postawionych przedstawicieli władz. Szablonowo tworzone treści są do siebie łudząco podobne. Łączy je też to, że wypowiadający je politycy pochodzą z zachodniej części kraju. Na blisko 150 ministrów, którzy pracowali w rządach od 1991 r., tylko 12 pochodziło ze wschodniej części Niemiec. Najczęściej obejmowali resorty „miękkie”, rodziny lub nauki. Gospodarka i finanse nigdy nie trafiły w ręce Ossis, mieszkańców wschodu. Kanclerz Angela Merkel to wyjątek potwierdzający regułę.

Michael Raschke uważa, że cała narracja Pokojowej Rewolucji została narzucona przez zachodni polityczny establishment.

Jeszcze w pierwszej połowie 1989 r. 26-letni wówczas Raschke pozostaje sceptyczny wobec opozycyjnych grup, które skupiały się wtedy w kościołach. – To było dla mnie zbyt dziecinne – wspomina dziś.

Pod koniec sierpnia odwiedza go Michael Arnold, kolega z dużym opozycyjnym doświadczeniem. Arnold wyciąga z plecaka dwie kartki zapisane gęsto maszynowym tekstem. Zaczyna się od słów „W naszym kraju komunikacja między państwem a społeczeństwem została przerwana”. Następnie sformułowana jest krótka analiza fatalnej sytuacji społecznej i gospodarczej w NRD: kryzys gospodarczy, apatia, lęk przed wyrażaniem własnych opinii. Tekst kończy apel „Wzywamy wszystkich obywateli NRD, którzy chcą przyczynić się do transformacji naszego społeczeństwa, aby zostali członkami Nowego Forum. To już najwyższy czas”.

– Po przeczytaniu tej odezwy miałem naprawdę pierwszy raz w życiu wrażenie, że jakiś tekst, jakaś polityczna idea mnie w pełni przekonuje – mówi Raschke.

Na początku września 1989 r. Nowe Forum powołała grupa obrońców praw człowieka i działaczy demokratycznych rozsianych po całej NRD. Pod tekstem swoje nazwisko zostawiło w sumie kilkadziesiąt osób. Raschke decyduje się, żeby pod jego adresem w zachodniej części Lipska mogli się zgłaszać ludzie, którzy zechcą podpisać się pod apelem i dołączyć do nowego ruchu sprzeciwu.

To nie była dobra wiadomość dla jego żony (dziś są rozwiedzeni). Była w ciąży i oczekiwała spokoju. Tymczasem drzwi ich mieszkania przy Hahnemannstraße 8 rzadko się zamykały, kolejne osoby wchodziły, by dyskutować o reformach.

– Zaczęło się szaleństwo organizowania okrągłych stołów – Raschke zwraca uwagę, że na przebieg jesiennych wydarzeń w NRD wpływał wynik obrad Okrągłego Stołu w Polsce. Każda grupka brała pod dyskusję wybrany przez siebie temat polityczny lub społeczny. Zastanawiano się, jak zmienić państwo na lepsze.

– Chodziło nam głównie o wolność podróżowania i wolne wybory – Raschke uwierzył, że w jego kraju może się coś zmienić. Ferment społeczny stawał się z kolejnymi dniami coraz większy. Aktywność osób związanych z Nowym Forum łączyła się z grupami działającymi dotąd pod auspicjami Kościoła, głównie ewangelickiego. Tradycyjne modlitwy pokojowe, które od lat odbywały się w każdy poniedziałek o godz. 17 w kościele św. Mikołaja na Starym Rynku w Lipsku, zaczęły mieć swój ciąg dalszy. Już we wrześniu ludzie opuszczający kościół nie wracali jak zwykle do domów, tylko wychodzili na Ring, obwodnicę, która okala Stare Miasto.

Cicha demonstracja

Jesienią 2019 r. jesteśmy regularnie atakowani informacjami o gigantycznych tłumach, demonstrujących w różnych częściach świata. W Chile trwają milionowe demonstracje antyrządowe, w Barcelonie ponad pół miliona mieszkańców demonstruje na rzecz niepodległości Katalonii, ekologiczne protesty Fridays For Future w Niemczech mobilizują setki tysięcy ludzi.

Rewolucja w Lipsku zaczęła się od znacznie mniejszych liczb. Ale też NRD nie była normalnym państwem.

Rainer Müller wspomina, że demonstracja ekologiczna, którą organizował w 1988 r., czyli na rok przed upadkiem muru, zgromadziła 230 osób. – I była to największa demonstracja opozycji w NRD od lat – dodaje.

Nie głośzono wtedy żadnych antysystemowych haseł. Po prostu odczytano mowę ówczesnego ministra odpowiedzialnego za ekologię, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. – Umówiliśmy się, że nie będziemy nikomu mówili o tej demonstracji – wspomina Müller. Dziś to może wydać się absurdalne i nielogiczne, ale wtedy organizatorom chodziło przede wszystkim o to, żeby ludzie, którzy pierwszy raz w życiu wzięli udział w demonstracji, nie wystraszyli się i także następnym razem wyszli na ulicę.

Obecnie Müller, podobnie jak Raschke, samym wyglądem zdradza swoją opozycyjną przeszłość. Długie włosy, broda i znoszona jeansowa kurtka. Jest zabiegany, bo z okazji rocznicowych obchodów ciągle stawia się na kolejne spotkania, na których odpowiada na pytania ciekawych, jak się żyło w dyktaturze. Przykładowo: czy czuł strach, niosąc w walizce antysystemowe ulotki, za które mógł trafić do aresztu – i na koniec trafił.

Stasi, NRD-owska bezpieka, miała w całym kraju 91 tys. etatowych pracowników i wielką sieć tajnych współpracowników, którzy często donosili na przyjaciół, a nawet, bywało, na własne dzieci i żony. W samym Lipsku Stasi miała około tysiąca „tajnych mieszkań”, w których szpiegowano, spotykano się z konfidentami, podsłuchiowano przez ściany. Każda grupa organizująca demonstracje musiała być infiltrowana – takie było powszechne przekonanie.

– Ja się nie bałem – twierdzi Müller. – Nawet jeśli pół miliona osób było tajnymi współpracownikami, to było to tylko trzy procent wszystkich mieszkańców – tłumaczy.

Efekt kuli śnieżnej

Jednak w tamten poniedziałek, 9 października 1989 r., większość ludzi, którzy wyszli na ulice Lipska, bała się o dalszy rozwój wydarzeń.

– W mieście panowała cisza. Wieczorem ludzie zgromadzili się we wszystkich otwartych kościołach na terenie miasta. Po modlitwach zaczęliśmy gromadzić się na ulicach – wspomina Raschke. Na demonstrantów czekało już ponad 8 tys. milicjantów. Istniało powszechne przekonanie, że mogą paść strzały, aby tylko uciszyć rebelię. Komunistyczne władze były zdesperowane, by utrzymać walący się ład.

Dwa dni wcześniej, 7 października, władze NRD świętowały 40-lecie istnienia państwa. W Berlinie Wschodnim jego lider Erich Honecker podejmował Michaiła Gorbaczowa, na ulicach stolicy odbyła się parada wojskowa. Aparat państwowy próbował jeszcze prężyć muskuły. Jak oceniał wtedy korespondent zachodnioniemieckiej telewizji ZDF: „Robiono wszystko,

aby nie było wrażenia, że po Polsce i Węgrzech kolejny kraj Układu Warszawskiego kwestionuje socjalizm”.

Takiego wrażenia chciano uniknąć także dwa dni później, 9 października. Z punktu widzenia władz pytanie brzmiało, co im bardziej zaszkodzi. Demonstracja siły, rozpędzenie demonstrantów i depesze o rozlewie krwi na pierwszych stronach światowych gazet? Czy też pozwolenie demonstrantom na przemarsz przez Lipsk? Strach panował po obu stronach, ale okazało się, że to władze boją się bardziej.

Ostatecznie ponad 70 tys. demonstrantów przeszło ulicami miasta z hasłem „Keine Gewalt!” („Bez przemocy”) na ustach i ze świecami w dłoniach.

Brak interwencji policji spowodował efekt kuli śnieżnej. Potem w każdy kolejny poniedziałek coraz więcej osób wychodziło tu na ulice: 120 tys., 200 tys., 300 tys. demonstrantów... 6 listopada (na trzy dni przed otwarciem muru berlińskiego, czego wtedy nikt nie mógł przewidzieć) w Lipsku zgromadziło się pół miliona osób. Tyle samo z początkiem listopada wyszło na ulice w Berlinie Wschodnim.

– Wtedy jeszcze nikt nie mówił o upadku muru, a tym bardziej o zjednoczeniu. Dla nas było jasne, że nie chcemy uciekać na Zachód, że chcemy zostać w tym kraju i działać na rzecz reform – Raschke i osoby działające w Nowym Forum krytykowali tych, którzy decydowali się na wyjazd z NRD przez coraz bardziej dziurawe granice państw bloku wschodniego. A tych pod koniec roku liczono już w setkach tysięcy.

Ulica zmienia hasła

Decyzja o otwarciu granic nastąpiła parę dni później i zaskoczyła wszystkich. Zamiast reformować kraj, partyjny beton – który stał nad gospodarczą i polityczną przepaścią – godził się oddać losy kraju w ręce innych.

– Gdy pod koniec listopada zaprezentowano „Plan 10-punktowy”, to był sygnał, że już nic od nas nie zależy – tłumaczy Raschke.

Plan, mający uspokoić nastroje i ustabilizować rozchwianą sytuację polityczną, stworzył i ogłosił 28 listopada 1989 r. w Bundestagu kanclerz RFN Helmut Kohl. Ku zaskoczeniu wielu (nie tylko władz i opozycji w NRD, ale także zachodnich sojuszników RFN), dziesiąty punkt planu brzmiał: „Zjednoczone Niemcy w wolnej i zjednoczonej Europie”.

Zachód był wtedy krainą dobrobytu i wzrostu gospodarczego. Zdecydowana większość Niemców ze zrujnowanej gospodarczo NRD, niewiele się zastanawiając, podchwyciła hasła zjednoczeniowe.

Raschke zwraca uwagę, że w kolejnych tygodniach po upadku muru podczas demonstracji w NRD nastąpiła znacząca zmiana głównych haseł, które skandowano na ulicach Berlina, Lipska i innych miast. Jeszcze w październiku krzyczano „Wir sind das Volk!” („To my jesteśmy narodem!”). Wkrótce po 9 listopada demonstranci zaczęli krzyczeć: „Wir sind ein Volk!” („Jesteśmy jednym narodem!”).

Opozycjoniści, pragnący reform w NRD, a nie likwidacji państwa, nie dawali jeszcze za wygraną. Kilka organizacji, w tym Nowe Forum, zawiązało komitet wyborczy Bündnis 90 (Związek 90). Ruszyły przygotowania do pierwszych wolnych wyborów w NRD, zaplanowanych na marzec. Również Raschke brał udział w kampanii.

Wybory w marcu 1990 r. (były to pierwsze i ostatnie wolne wybory w dziejach NRD) wygrała opcja zjednoczeniowa: zdecydowaną większość zdobyły ugrupowania opowiadające się za szybkim zjednoczeniem Niemiec (w kampanii otrzymały one wsparcie Helmuta Kohla). Taka była wola większości Niemców z NRD. Natomiast ludzie, którzy we wrześniu 1989 r. zaczęli tę rewolucję i którzy jeśli myśleli o zjednoczeniu, to o stopniowym i na innych warunkach (z ich punktu widzenia: bardziej partnerskich), ponieśli klęskę: ich Związek 90 uzyskał fatalny wynik, zaledwie 2,9 proc. głosów. Dla wszystkich był to czytelny sygnał, że nie da się zmienić biegu historii.

W sierpniu 1990 r. parlament NRD wyznaczył termin zjednoczenia; formalnie miało polegać nie na połączeniu się obu państw, lecz na przyłączeniu się wschodnich landów do Republiki Federalnej.

3 października 1990 r., niemal dokładnie w rok od tamtej decydującej demonstracji w Lipsku, NRD stała się częścią Republiki Federalnej. W oczach takich ludzi jak Michael Raschke – została wcielona do RFN.

30 lat później

Przez kolejne lata za naturalną dla nowego tworu państwowego uznawano dyskusję o różnicach gospodarczych, społecznych i kulturowych, które dzielią wschód i zachód kraju. Tych, którzy wyjechali ze wschodu w poszukiwaniu lepszych zarobków, z czasem dopadała *Ostalgie*: uczucie, którego nazwa jest połączeniem słów *Ost* (wschód) i *Nostalgie* (nostalgia).

Jednak mało kto się spodziewał, że po trzech dekadach te dyskusje nie tyle nie znikną, co wręcz się nasilą.

W ostatnią niedzielę października 2019 r. regionalne wybory w Turyngii, jednym ze wschodnich landów, wygrała zdecydowanie Die Linke: ugrupowanie, w którego skład wchodzi dawni komuniści z partii rządzącej w NRD (Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, SED), dostało jedną trzecią głosów. Na drugim miejscu uplasowała się populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD): partia, która podważa liberalny ład w kraju i sprzeciwia się proimigranckiemu kursowi kanclerz Angeli Merkel (łącznie Die Linke i AfD uzyskały ok. 55 proc. głosów).

AfD walczy o głosy we wschodnich landach pod hasłem „Wende 2.0” („Zmiana 2.0”; w języku niemieckim pojęciem „Wende” określa się także tamtą zmianę z lat 1989-90). Politycy AfD argumentują, że nie po to w NRD walczono o wolność, żeby wpaść w ramiona kolejnej dyktatury, tym razem liberalno-lewicowej, która m.in. narzuca obywatelom konieczność przyjmowania uchodźców. Zwolennicy tej partii nazywają publiczne media „Honecker-TV”. W wyborach do landtagu Turyngii chadecja (CDU) zajęła dopiero trzecie miejsce, uzyskując jedną piątą głosów, a socjaldemokraci (SPD) – którzy wraz z chadekami rządzą krajem – spadli do poziomu jednocyfrowego (8 proc.). Partie, które od lat rządzą Republiką Federalną, w tej części byłej NRD nie zdołały więc przekonać do siebie nawet jednej trzeciej głosujących.

Integracja potrwa dłużej

Michael Raschke jest bardzo daleki od popierania AfD. Ale rozumie, skąd takie, a nie inne wybory polityczne podejmują akurat mieszkańcy wschodnich Niemiec. Wskazuje na pierwsze słowa odezwy Nowego Forum sprzed 30 lat: „W naszym kraju komunikacja między państwem a społeczeństwem została przerwana”.

– Do podobnych wniosków doszli ludzie po tym, jak Angela Merkel otworzyła granicę dla uchodźców – uważa Raschke. – Tę decyzję podjęto ponad ich głowami, w sposób, jaki mieszkańcy wschodu doskonale znają z poprzedniego systemu.

NRD istniała 40 lat. Czy tyle samo czasu potrzeba, by jej dawni mieszkańcy i ich potomkowie poczuli się pełnoprawnymi obywatelami zjednoczonych Niemiec? Trzy dekady po Pokojowej Rewolucji i upadku muru, wydaje się, że ten proces będzie trwał jeszcze długo.

ŁUKASZ GRAJEWSKI jest korespondentem „Dziennika Gazety Prawnej” w Niemczech.

<https://www.tygodnikpowszechny.pl/pozjednoczeniowy-kac-trwa-161038>